

Edurne znaczy śnieg

Monika Rogozińska 06-08-2009, ostatnia aktualizacja 06-08-2009 23:57

Trzy kobiety: Włoszka, Hiszpanka i Austriaczka, bliskie są osiągnięcia Korony Himalajów, 14 szczytów ośmiotysięcznych. Wszystkie wspinają się ambitnie, bez pomocy tlenu z butli. Każda z nich wielokrotnie była bliska śmierci



autor zdjęcia: Monika Rogozińska

źródło: Fotorzepa

Edurne Pasaban



źródło: Rzeczpospolita



źródło: Rzeczpospolita

[+zobacz więcej](#)

Śnieg w języku Basków to Edurne. Czy pasją górską zarazili cię rodzice?

Edurne Pasaban: Ależ skądże! Pochodzę z normalnej rodziny w Hiszpanii. Nikt w niej nie lubi gór. Urodziłam się 1 sierpnia 1973 r. w kraju Basków, w Tolosa niedaleko San Sebastian. Ojciec, właściciel rodzinnej fabryki produkującej maszyny do cięcia papieru, przepracował w niej całe życie. Matka jest fryzjerką. Kiedy rodzice się pobierali, to nie mówili w żadnym wspólnym języku. Matka, Baskijka, nie znała hiszpańskiego.

Rodzice lubiąc przyrodę, dużo jeździli samochodem campingowym. Pamiętam podróż w dzieciństwie przez Pireneje: obudziliśmy się, a z sufitu wisiały sople. To był chyba mój pierwszy trening przystosowania się do warunków panujących na dużych wysokościach.

Miałam 14 lat, kiedy zapisałam się do klubu w mojej wiosce, żeby uczyć się wspinaczki skalnej. Zjawiłam się tam nie z powodu miłości do skał, tylko do chłopaka, który uczył wspinania. Wszystkie moje koleżanki w nim się podkochiwały, więc zebrała się spora drużyna kursantek. Żadna z nas nie zdobyła względów nauczyciela, ale pilnie trenowałyśmy, pragnąc być jak najbliżej naszego szczęścia. Koleżanki długo nie wytrzymały. Mnie wspinaczka bardzo się spodobała. Moim rodzicom nie.

To skąd miałaś pieniądze na pierwsze wyprawy?

Od ojca. Miałam 16 lat, kiedy po raz pierwszy pojechałam w Alpy. Weszłam z przyjaciółmi na Mont Blanc i Matterhorn od włoskiej strony. Następnego roku byłam w Ekwadorze. Wspięliśmy się na Cimborazo, Cotopaxi i inne wulkany. Zaskoczyło mnie, że tak dobrze czuję się na 6000 m.

A co ze szkołą?

Studiowałam inżynierię – mechanikę, od poniedziałku do piątku. Weekend należał do wspinaczki. Skończyłam studia i zaczęłam pracować w fabryce ojca. Sprzedawałam maszyny do Ameryki Południowej i Azji. Lubiłam to zajęcie, dopóki nie stało się nudne. Nie wytrzymałam braku wyzwań i rozwoju. Miałam 25 lat i widziałam, jak wiele można w firmie zmienić. Filozofia starszej generacji nie

zmieniała się. "Całe życie tak robiliśmy i było dobrze, nagle pojawiaasz się i chcesz nas uczyć" – słyszałam.

W 1998 r. zrobiliśmy wyprawę naszego klubu z Tolosa na Dhaulagiri. Zdobywaliśmy fundusze, sprzedając koszulki z nadrukiem logo ekspedycji, bilety na loterię. Na szczyt Dhaulagiri oczywiście nie weszliśmy. Nie mieliśmy pojęcia o Himalajach. Byliśmy szczęśliwi, docierając do 7500 m.

Tam spotkałaś włoską ekspedycję i człowieka, znanego himalaistę, który miał duży wpływ na twoje życie. Uratował cię także na K2, już po waszym rozstaniu.

Tak. Silvio Mondinelli zaprosił mnie na następny rok na wyprawę na Mount Everest od strony Tybetu. Nie udało nam się stanąć na szczycie. Rok później znowu próbowaliśmy. Dopiero w 2001 weszliśmy od Nepalu na Everest, ja, jako pierwsza Baskijka.

Czy odtąd łatwiej było ci znaleźć sponsorów?

Nie. Baskijski rząd podarował mi 5000 euro na następną ekspedycję, na Makalu. To było wszystko. Ale wejście na Everest zmieniło moje życie. Nie dało się pogodzić pracy w fabryce z wyprawami. Rodzice powiedzieli: dość! Wybrałam wspinaczkę. Kiedy odchodziłam, ojciec płakał. Otworzyłam hotel i restaurację Abeletxe w wiosce Zizurkil niedaleko Tolosa. Nie wiedziałam, jak je prowadzić. Zaczynałam od zera.

Byłaś wreszcie wolna we własnym biznesie.

Szłam do hotelu na 10 rano i wracałam o godz. 3 w nocy. W weekend robiłam zakupy. W poniedziałek dzwoniło o świcie: „Zabrakło piwa”. Kiedy wreszcie pojechałam w Himalaje, to goniły mnie telefony od matki: „Edurne, twój kucharz odchodzi...”, „Edurne, zamrażarka się zepsuła...”. Kompletne bzdury, jeśli patrzeć na to z Himalajów. Znalazłam wreszcie menadżera. Dziś pracuje w hotelu i restauracji 20 osób i wszystko działa. Udało się.

Ale w górach zostałaś sama. Dlaczego?

Mieliśmy z Silvio duży problem. Jeździliśmy razem na wyprawy, weszliśmy też na Makalu. Góry głęboko łączą. Silvio był żonaty. Pewnego dnia musiałam podążyć dalej sama. Pozostaliśmy przyjaciółmi.

Program telewizji hiszpańskiej “Al Filo de lo Imposible” (“Na krawędzi niemożliwego” nazywany też “Na ostrzu miecza”) od 25 lat towarzyszy wyczynom eksploracyjnym, sportowym i przygodzie na lądzie i pod wodą. Dziś finansuje i organizuje tobie wyprawy, ekipę alpinistów i kamerzystów. Kiedy się tobą zainteresował?

Spotkałam ekipę “Al Filo” pod Everestem w 2000 r. Zapytałam szefa programu, czy mogą mi pomóc? Usłyszałam: A kim ty jesteś???

Byłam dla nich nikim. Dopiero kiedy stanęłam na czterech ośmiotysięcznikach, powiedzieli, że chcą zrobić film z kobietami wchodzącymi na Gasherbrumy. Tak zaczęliśmy współpracę.

Na następnej wyprawie, na K2, wybornie spełniłaś oczekiwania telewizji. Weszłaś na szczyt w otoczeniu najlepszych himalaistów, umierałaś, sprowadzano cię do bazy, zwieziono helikopterem, amputowano odmrożone palce stóp. Byłaś wtedy w bazie w 2004, roku jubileuszowym, 50-lecia zdobycia dziewiczego K2. Tłum wypraw, ekip telewizyjnych, noc, sprzeczne informacje, zaginięcia alpinistów... Co naprawdę się wydarzyło?

Na szczycie stanęliśmy we czworo późno, ok. 17.30. Zaczęliśmy schodzić. Zapadł zmrok. Juanito Oiarzabal (zdobywca Korony Himalajów, po raz drugi na szczycie K2) i Juan Vallejo utworzyli jeden zespół, ja z Silvio Mondinellim drugi. Kiedy doszliśmy do lin poręczowych, które wcześniej założyliśmy

w wylodzionym kuluarze, Silvio powiedział, że jest mu bardzo zimno, pójdzie szybciej i poczeka na mnie w obozie IV. Zgodziłam się. Powiedziałam, żeby się nie martwił, bo dwaj koledzy idą za nami i nie będę sama. Nie wiem jak, ale zgubiłam czołówkę. Postanowiłam w ciemności poczekać na kolegów. Usiadłam i... zasnęłam. Juanito i Juan obudzili mnie dwie godziny później. Gdyby nie doszli, to i ja bym tam została. Dotarłam do obozu IV na wys. 8000 m z Juanem. Oiarzabal szedł za nami. Ale nie doszedł do namiotów. Ktoś go odnalazł. Siedział na śniegu poniżej obozu, który ominął zgubivszy drogę. Był w złym stanie. Przeprowadzono go do namiotu. Następnego dnia wystartowaliśmy z obozu IV o 6 rano. Wszyscy ciężko pracowali by nas, Juanito i mnie, uratować. To było wspaniałe. Dotarliśmy do bazy po północy.

Ile czasu spędziłaś w szpitalu?

Czekałam 44 dni, aż ustali się linia między odmrożoną tkanką a żywą na palcach stopy. Potem odcięto martwą część. Na obciętej kości nie zaszywa się skóry. Rana sama musi się zasklepić. To długi i bolesny proces.

Rok później stanęłaś na Nanga Parbat. Wieść niesie, że następnie trafiłaś do innego szpitala, psychiatrycznego. Zniknęłaś na rok. Trudno uwierzyć, że góry cię stopiły, wykończyły, jak sugerują opinie w internecie?

Zakochałam się nieprzypadkowo. On miał za sobą parę ośmiotysięczników, ale razem się nie wspinaliśmy, nie chciał. Był prezesem banku, intensywnie pracował. Wspinał się, bo to lubił. Był moim życiem. Mieszkaliśmy razem w Barcelonie. Straciłam go. Myślę, że wprowadzałam w jego życie zbyt dużo napięcia. Wciąż byłam w drodze, stałe wśród mężczyzn.

Potrzebował domu z żoną, kolacją, spokojem po stresującym dniu, a nie fascynującego, lecz nieustabilizowanego partnerstwa?

Prawdą jest, że kiedy po mojej wyprawie na Nanga Parbat rozstał się ze mną, miałam wielką depresję. Byłam bardzo chora. W 2006 r. nie wspiniałam się. Dziś wiem, że góry nie są w stanie wypełnić mi całego życia. Często zastanawiałam się, jak Wanda Rutkiewicz sobie z tym radziła; dwa razy wyszła za mąż...

Źle sobie radziła. Chciałabyś mieć dzieci?

To jest mój duży problem. Cena za moja pasję jest bardzo wysoka. Mam 35 lat.

W Hiszpanii i poza nią jesteś ostro atakowana za brak samodzielności, za świtę, która ci pomoże zejść ze szczytu. Wiem, że krytyka cię bardzo boli.

Krytykują mnie za to, że mam bardzo dobry zespół, który pracuje, żebym dokończyła Koronę Himalajów. Działamy w piątkę. Ludzie, z którymi się wspinam, nie są moimi przewodnikami, ale partnerami. Odpowiadam za realizację materiałów filmowych, organizację, strategię i taktykę wyprawy, a nawet biurokrację. Nikt nie krytykuje Gerlinde, z którą się przyjaźnię, i Nives, że wspinają się z mężami, którzy są dobrymi alpinistami. Oni przecież realizują projekty swoich żon. Wspinam się klasycznymi drogami, nie próbuję zimą, wiem, na co mogę sobie pozwolić. Robię to, co lubię. Dlaczego mnie krytykujecie?

Została ci do wejścia Annapurna, uchodząca za najbardziej nieprzewidywalny ośmiotysięcznik i uważana za łatwą Shisha Pangma.

Żadnej innej góry nie atakowałam tyle razy co Shisha Pangma – trzykrotnie. Annapurnę próbowałam raz zdobyć. To bardzo niebezpieczna góra. Wymaga ciągłego, czujnego rozglądania się, obserwowania ściany – spada tam dużo lawin. Nie ma chwili relaksu. Zostawię ją na koniec.

A co będzie po końcu?

Powrót na Everest bez tlenu. To był mój pierwszy i jedyny ośmiotysięcznik, na który weszłam z butlą. Nie śmiałam wtedy inaczej. Są też sprawy, które zaniedbałam. Pragnę pomagać. Mamy fundację Mountaineers for Himalayas zajmującą się edukacją dzieci w Nepalu, Tybecie, Pakistanie (www.mount4him.org). Zmiana życia na lepsze jest możliwa, jeśli zaczniesz się od rozwoju dzieci. Chciałabym pracować z ludźmi także w Hiszpanii. To naturalne, że kiedy zdołasz przezwyciężyć depresję, to chcesz pokazać innym, że też mogą stanąć na nogi. Studiuję w Barcelonie coaching, żeby umieć dać innym dobrą energię do podążania dalej. Wy tłumaczyć, że choć bywa, iż mamy wszystkiego dosyć, to jesteśmy tu tylko raz i powinniśmy starać się być szczęśliwi.

Ośmiotysięczniki Edurne Pasaban:

2001 r. Mount Everest, 2002 r. Makalu i Cho Oyu, 2003 r. Lhotse, Gasherbrum II oraz Gasherbrum I, 2004 r. K2, 2005 r. Nanga Parbat, 2007 r. Broad Peak, 2008 r. Dhaulagiri i Manaslu, 2009 r. Kangczendzonga.

www.edurnepasaban.com

Chodzący optymizm

Gerlinde Kaltenbrunner wspinaczki nauczyła katolicki ksiądz w wiosce Spital am Pyhrn w Austrii, gdzie się urodziła 13 grudnia 1970 r. i była ministrantem od szóstego roku życia. W jej rodzinie nikt nie chodził po górach. Na pierwszy ośmiotysięcznik, Broad Peak, wyruszyła w wieku 23 lat. Dotarła do Przedwierzchołka (8027 m). Szczęśliwa, nie wiedziała, że za nim jest nieco wyższy punkt na długiej grani. Zdobyła go po 13 latach.

Dla gór porzuciła pracę pielęgniarki. Została akwizytorem sprzętu sportowego, choć zajęcia tego nie lubiła. W Himalajach spotkała Ralfa Dujmovitsa. Zaczęli razem się wspinać. W 2007 pobrali się, a następnie pojechali na osobne wyprawy. 13 jest dla niej fortunną liczbą.

13 maja tylko ona zdołała wydostać się z namiotu, gdy lawina pochłonęła obóz na Dhaulagiri.

Mówi, że góry dają jej szczęście, siłę, energię i poczucie wolności. Wspina się w stylu alpejskim, często dla szybkości bez asekuracji. Potrafi iść obok wytyczonej trasy, żeby nie dotykać cudzych lin poręczowych.

Ralf nazywa ją Chodzącym Optymizmem. Jest rzeczywiście urocza i pogodna. Na dużych wysokościach czuje się chyba lepiej niż mąż. Zawróciła spod samego szczytu Lhotse, gdyż zaniepokoiły ją ataki kaszlu Ralfa. Kolejnym razem czekała na niego godzinę pod szczytem, żeby wejść razem. Na Shisha Pangma ratowała go, kiedy został zraniony w nogę przez spadający kamień.

Lubi pomagać. Razem wspierają organizację Nepalhilfe Beilngries (www.nepalhilfe.org) budującą domy dla nepalskich sierot, w których się kształcą, czy fundację na rzecz biednych kobiet w Kathmandu. Chce postawić szkołę dla dziewczynek w dolinie Hushe niedaleko lodowca Baltoro w Pakistanie.

Gerlinde i Ralf mieszkają w Niemczech, w Schwarzwaldzie.

On prowadzi firmę uczącą wspinaczki, organizującą trekkingi i wyprawy. Ona zarabia na kontraktach reklamowych i prelekcjach.

Obydwoje zdecydowali, że nie będą mieć dzieci.

Do Korony Himalajów brakuje jej Mount Everestu i K2.

www.gerlinde-kaltenbrunner.at

Siła woli

Nives Meroi urodziła się 17 września 1961 r. w Bonate Sotto koło Bergamo. Od 20 lat stanowi z mężem, Romano Benetem, nierozłączną parę w górach, które są ich całym życiem. Uważają, że trzeba do nich podchodzić uczciwie, w czystym stylu, a wyczyny wspinaczkowe mają świadczyć o sile ludzkiej woli, a nie sprzętu czy armii ludzi, z którymi wchodzi się w ścianę. Wspinają się ekstremalnie w skale i lodzie, brawurowo jeżdżą na nartach. Ich partnerem w najwyższych górach był Luca Vuerich z Tarvisio, w którym mieszkają. We trójkę zasłynęli Trylogią – w ciągu 20 dni weszli na trzy ośmiotysięczniki w 2003 r. Ci dwaj mężczyźni znieśli Nives, kiedy złamała nogę zimą na Makalu. W maju tego roku, będąc w świetnej formie, wycofała się z Kangczendzongi z powodu złego samopoczucia męża.

Do Korony Himalajów brakuje jej Makalu, Annapurny i Kangczendzongi.– Nives jest nieśmiała i nieprzyzwyczajona do błyszczenia w mediach. Ma jednak z tych trzech kobiet największy dystans do sławy i odporność psychiczną – uważa Kinga Baranowska, czołowa polska himalaistka.

www.nives.alpinizem.net

Koreański czarny koń

Oh Eun Sun z Korei Południowej, ma 43 lata i w dorobku Koronę Ziemi – siedem najwyższych szczytów kontynentów. 3 sierpnia weszła na Gasherbrum I i ogłosiła, że to jej 13. ośmiotysięcznik. Ekipy wspinaczy i Sierpów wydeptują jej drogi na szczyty. Przylatuje helikopterem do bazy, wchodzi i leci pod następną górę. Twierdzi, że nie używa tlenu i brakuje jej Annapurny do Korony Himalajów. Himalaiści uważają, iż kłamie.

oes.chosun.com

Rzeczpospolita